CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 116 28 IX 1989 r. Cena 90 zł

Fot. T. Kłosowski

Na str. 5 odwiedzimy jedyną w Polsce kolonię lęgową niezwykłych, bajecznie kolorowych ptaków

Amerykańskie okręty wojenne z wizytą w Sewastopolu

Mieszkańcy Sewastopola – głównej bazy radzieckiej Floty Czarnomorskiej tlumnie przybyli do portu by zwiedzić amerykańskie okręty, które zawinęły z czterodniową wizytą na Krym.

Fot. **CAF**

Rekiny straszą Greków i turystów

Rybacy greccy sygnalizują pojawienie się rekinów w wodach przybrzeżnych Grecji. W sierpniu widziano czterometrowego rekina-olbrzyma u północno-wschodnich wybrzeży tego kraju. Dwumetrowego rekina zabito w kwietniu br. nie opodal portu Kalamata na południu Peloponezu. Innego widziano w czerwcu w pobliżu wyspy Korfu.

Biura turystyczne ostrzegają kąpiących się o możliwości żerowania rekinów. Trudno powiedzieć, czy są to rekiny-ludojady. Ostrożność jednak nie zawadzi. Grecja to nie Australia czy Floryda, gdzie rekiny często atakują ludzi, ale licho nie śpi.

W ubiegłym roku o tej samej porze widziano rekiny „patrolujące" wody w pobliżu Salonik, a także na południe od Aten, wokół Peloponezu. Tragicznych wypadków na szczęście nie było. **(jz)**

Fot. M. Włodarski

Dziś Dzień Chłopaka

Kto się nie boi myszy? Chłopak.
Kto umie łazić po drzewach? Chłopak.
Kto wie, co siedzi w komputerze? Chłopak.
Kto czasem zaprosi do kina? Chłopak.
Kto stroi psie figle? Chłopak.
Czyż nie jest to istota niezwykła?
Uśmiechajcie się do chłopaków dziewczyny!

Tak pięknie przystrajają swoje konie mieszkańcy Tybetu (Chiny)

Fot. **archiwum**

Ale pieczeń!

Szef kuchni restauracji w mieście Haverfordwest w południowo-zachodniej Anglii musiał być tego dnia bardzo roztargniony. Otóż zamiast jak zwykle schować i zamknąć dzienny utarg w sejfie schował pieniądze w... piekarniku. Następnego dnia przystąpił do swoich obowiązków, włączył piekarnik, który miał być potrzebny i dopiero po pewnym czasie poczuł jakiś dziwny zapach. To piekły się funty!

Szczekanie według regulaminu

Widocznie psie szczekanie musiało dopiec sąsiadom właścicieli tych zwierząt, skoro sąd w Hamm w RFN ustalił, że wolno szczekać nie dłużej niż 30 minut dziennie i zaledwie 10 minut jednym ciągiem! Szczekanie jest poza tym dozwolone jedynie w wyznaczonych porach przed południem i po, ale najpóźniej do 19. Nie wiadomo jednak, kto będzie przeprowadzał kontrolę i czy zwierzęta przyjęły do wiadomości te zalecenia.

Szlakami SZARYCH SZEREGÓW po Warszawie (8)

KOLEKCJA ŚWIATA MŁODYCH

1943 - 1944 Z BRONIĄ W RĘKU

W 1943 roku – czwarty rok okupacji, Szare Szeregi wchodziły już jako silna i sprawna organizacja konspiracyjna. Młodzież harcerska, mając za sobą konspiracyjne przeszkolenie wojskowe oraz kilkuletnie doświadczenia „wawerskie" pracy w Małym Sabotażu, rwała się do zbrojnej walki z Niemcami. Z każdym dniem rósł przecież rachunek krzywd naszego narodu doznawanych od okupanta. Pierwsze okazje rodziły się same...

11) **Ul. Bracka 23** – dom o takim numerze dziś nie istnieje. A właśnie tu, na rogu Brackiej i Rutkowskiego (wówczas Chmielnej) stała wysoka kamienica, w której 2 lutego 1943 r. odbyła się jedna z pierwszych zbrojnych akcji harcerskich Grup Szturmowych. Należało ewakuować magazyn i archiwum „Wawra" z mieszkania aresztowanego przez Gestapo Jana Błońskiego – ps. „Sum". Ze względu na ilość materiałów i ich znaczenie dla organizacji, do akcji zaangażowano kilka samochodów, zaś uczestników uzbrojono w broń krótką i pistolety maszynowe. Całością ewakuacji dowodził Tadeusz Zawadzki – „Zośka". Dowódcą ubezpieczenia był Jan Bytnar – „Rudy", zaś piątką ubezpieczających na ulicy kierował Aleksy Dawidowski – „Alek". Akcja rozpoczęła się o godz. 17 i trwała ponad 2 godziny – w porze największego ruchu ulicznego! Nic więc dziwnego, że chłopcy „Rudego" uwijali się nie mniej, niż wynosząca materiały grupa „Zośki" – co chwilę wchodził ktoś z ulicy, lub wychodził z któregoś z mieszkań i... wędrował pod obstawą do „poczekalni" w klatce schodowej. Ilość zatrzymanych rosła sięgając w końcu stu osób stojących w ciszy wzdłuż schodów, od pierwszego piętra – skąd wynoszono materiały, po trzecie. Pod koniec akcji pojawiło się w domu dwóch policjantów granatowych. Rozbrojono ich natychmiast, lecz

To smutne

W jednym z numerów „Świata Młodych" wyjątkowo zainteresował mnie felieton korespondentki HSI, Ewy Podhajnej, pt. „Żegnaj podstawówko". Pomyślałam, że może warto podyskutować troszkę na ten temat.

Ewa rozpacza, żal jej podstawówy, nauczycieli, koleżanek i kolegów. Chciałaby znów być z nimi, nie cieszą jej więc nawet wakacje. Podczas roku szkolnego – ostatniego, spędzonego w murach starej szkoły – liczyła dni, które pozostały do końca. Nie mogła już wytrzymać... Ale kiedy upragniony koniec wreszcie nadszedł, była to najsmutniejsza chwila w jej życiu.

Zupełnie inaczej było ze mną. Zastanawiałam się, czy któregoś z moich „belfrów" chciałabym spotkać w nowej szkole. I doszłam do wniosku, że, niestety, nie!

Lekcje polskiego były właściwie jedynymi, których się nie bałam. Po prostu uwielbiam język polski, zawsze byłam więc dobrze przygotowana do lekcji, gotowa stawić czoła każdej klasówce, odpowiedzi, dyktandu. Mojej nauczycielce bardzo wiele brakowało do tej, którą tak miło wspomina Ewa. Bardzo często zmieniała zdanie, jednego dnia byliśmy według niej najlepszą klasą w szkole, a drugiego... najdelikatniejsze określenia brzmiały: wstrętni, paskudni, aspołeczni. A przecież robiliśmy wszystko, żeby naszą polonistkę zadowolić!

Lekcje matematyki to koszmar, trudny do opisania. Jestem humanistką, przedmioty ścisłe to dla mnie czarna magia. I nie tylko dla mnie. Połowa klasy borykała się z tym problemem. Jednak żadna z dwóch nauczycielek uczących nas tego przedmiotu w ósmej klasie, nie zainteresowała się tym głębiej. Potrafiły tylko krzyczeć. Kiedy nie rozumieliśmy jekiegoś zadania, pierwsza z nich mówiła: „Przeczytajcie jeszcze raz, to zrozumiecie." I dalej uzupełniała dziennik. To „dzięki" niej właśnie przed egzaminami trzy godziny tygodniowo poświęcałam na korepetycje z matematyki. Jej też winna jestem „podziękowanie" za bezsenne noce i prześladującą mnie bez przerwy wizję oblanego egzaminu. Ale cóż można wymagać od nauczycielki, która wymyśla uczniowi przy tablicy od „ciemnych mas" – obrzuca go kilkoma innymi jeszcze, równie ładnymi określeniami. A trzeba jeszcze dodać, że pyta właśnie z tego tematu, którego nie raczyła wytłumaczyć, tylko zadała do opracowania w domu z poleceniem: „Czytajcie kilka razy – zrozumiecie!"

Druga „matematyca" nie była wiele lepsza od poprzedniej. Krzyczała, pytała, pytała, krzyczała... i tak przez cały prawie rok. A do tego wszystkiego – nic nie tłumaczyła. Nieciekawa sytuacja, jeśli wziąć pod uwagę zbliżające się egzaminy.

Fizyka... Nie było w klasie chyba ani jednej osoby, która lubiłaby ten przedmiot. Nawet ci, którzy mieli fizykę „w małym palcu"! A to dlatego, że pani nauczycielka często miewała „humorki". Jeśli trafiło się na jej dobry humor, to żeby się plotło nie wiem jakie bzdury przy odpowiedzi – dwója i tak nie groziła. Ale nie daj Boże, kiedy pani miała humor gorszy. Wtedy nawet ci genialni woleli się nie narażać. Dwóje sypały się jak z rękawa. Lekcje te to był – dla mnie przynajmniej – horror i jeszcze dziś, mimo że to wszystko już za mną, dostaję gęsiej skórki na wspomnienie fizyki.

Reszta przedmiotów – no cóż, było różnie. Wprawdzie bez porównania lepiej niż na matmie czy fizie, ale... żaden z nauczycieli nie zasłużył jednak na to, żebym go ze łzami w oczach – jak Ewa – wspominała.

Skrytykowałam moich nauczycieli. Może nie powinnam, ale osiem lat przeżytych w murach starej „budy" nie zostawiło mi prawie w ogóle miłych wspomnień. To smutne. Powinno się z przyjemnością myśleć o pierwszych „cielęcych" latach.

„No dobrze – powiecie pewnie – ale szkoła to nie tylko nauczyciele!" Owszem, to jeszcze klasa. VIIIa – 30 osób. Podzieleni na „arystokrację" i szarą resztę nie potrafiliśmy się nigdy ze sobą dogadać. Do „arystokracji" należały panienki pozornie dobrze wychowane, miłe, grzeczne, przodujące w nauce, znoszące do szkoły makulaturę. To obraz, który widzieli rozanieleni nauczyciele. Za to klasa „podziwiała" zupełnie inne ich cechy: zamiłowanie do rządzenia innymi, do rozkazywania, chciwość, zuchwalstwo... Pewnie trochę za surowo je oceniam, ale piszę z pozycji odsuniętego na bok szaraczka. Takie szaraczki – to właściwie cała klasa oprócz sześciu z „elity". One zaś zapewne nigdy nie zastanowiły się nad tym, że są zwyczajnie śmieszne i, jak na prawdziwą arystokrację przystało, nie przyjmowały do wiadomości żadnej krytycznej uwagi na swój temat.

Kiedy wspominam moją dawną klasę, stwierdzam, że było jeszcze kilka – dosłownie kilka – naprawdę fajnych osób. Anka, dobra i miła dla wszystkich, umiejąca zrozumieć każdego; Weronika, pisząca tasiemcowy, liczący wiele, wiele tomów pamiętnik; roztrzepana, czasem zupełnie nieprzytomna Magda. Chłopcy... owszem, jeśli wziąć pod uwagę pozostałe ósme klasy, mili i grzeczni. Ale to tylko w porównaniu, bo tak naprawdę pozostawiali wiele do życzenia. Zdarzało się im być czasami fajnymi ludźmi, ale gdyby tak policzyć, bywało to może pięć razy w roku. Przyznaję, że, na szczęście, kilku było fajnych każdego dnia nie tylko od święta. Widzicie więc, że staram się oceniać wszystkich obiektywnie. Trudne to zadanie, ale myślę, że prawie mi się udało.

I jeszcze kilka słów o samej szkole, o budynku, w którym tyle przeżyłam. No cóż... tu opinia też nie będzie pochlebna. Szkoła ta była przewidziana na 800 uczniów, obecnie zaś uczy się tu ponad 1200 osób. Brakuje klas, lekcje odbywają się na korytarzu, najczęściej jest to w-f. Dzieciaki biegają po korytarzu i krzyczą, a w tym samym czasie w klasach odbywają się normalne lekcje, uczniowie piszą sprawdziany. Jeszcze siedem lat temu były w szkole dwie sale gimnastyczne, jednak tę drugą przerobiono na salę lekcyjną.

Bardzo się cieszę, że skończyłam już tę szkołę, i że w liceum znajdę się wśród zupełnie innych, nowych ludzi.

Dodam jeszcze, że podczas zakończenia roku szkolnego to ja żegnałam nauczycieli i szkołę w imieniu uczennic i uczniów klas ósmych. Przemówienie wszystkim się bardzo podobało. A tymczasem nie było niczym innym, jak kupą sloganów: „tak nam żal, że opuszczamy mury tej szkoły", „kochani, opiekuńczy nauczyciele", „miła atmosfera na lekcjach". Szkoda tylko, że nie mogłam wszystkim wtedy powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że odchodzę i jak długo czekałam na ten wspaniały dzień! Wręczenie kwiatów, krótkie pożegnanie z nauczycielami i klasą i... już mnie nie było!

Opuściłam jak najszybciej znienawidzony budynek, który niestety do tej pory śni mi się po nocach. Zdałam egzaminy i wyjechałam na wspaniałe wakacje, którymi cieszyłam się jak tylko mogłam.

Tak jak i Ewa, nie zamierzam zerwać kontaktów z maleńką grupką miłych i ciekawych ludzi z mojej byłej klasy.

Aśka

Było lato, był obóz...

Jak na Dzikim Zachodzie...

Wakacyjne ścieżki zaprowadziły mnie w tym roku do kilku obozów harcerskich. I utwierdziłam się w przekonaniu, że jeżeli tylko się chce, można spędzić wakacje w sposób bardzo ciekawy. Tak jak, na przykład, uczestnicy obozu szkoleniowego Komendy Chorągwi ZHP z Olsztyna.

Są jeszcze harcerki i harcerze, którzy uważają, że aby być dobrym drużynowym nie wystarczy tylko chcieć: trzeba jeszcze nad tym dużo pracować. Oni właśnie spotkali się na kursie drużynowych we wszystkich pionach w ramach Harcerskiej Akademii Wiedzy. Jadąc na ten obóz musieli spełnić trzy warunki: mieć ukończonych 16 lat, stopień Harcerza Orlego i otwartą próbę na przewodnika.

Pracowali podzieleni na trzy drużyny. „Tajne Stowarzyszenie BW" skupiało instruktorów zuchowych, „Gwiezdne Żaki" – przyszłych drużynowych harcerzy młodszych, „Wulkan" – starszych. Kiedy podglądałam ich obozowe życie, spodobało mi się, że są tak bardzo zgrani. Mimo że pochodzili z różnych hufców, drużyn, środowisk i nie znali się wcześniej, stanowili na obozie jedną harcerską rodzinę. I jak do rodziny mnie przyjęli. Słowa pochwały należą się kadrze tego obozu za to, że swoją wiedzę przekazywała w sposób przemyślany i ciekawy. Obozowicze zaś musieli się wykazywać świeżo zdobytymi umiejętnościami.

Drużynowi z „Tajnego Stowarzyszenia BW" zrobili to podczas Dnia Zucha, organizując ciekawe zajęcia dla uczestników kolonii zuchowej z 22 Szczepu im. Mieszka I z Olsztyna. Była więc prawdziwa zaprawa zuchowa, zabawa w teatr, pląsy, majsterkowanie i oczywiście ognisko. Cały obóz zamienił się w miasteczko wzorowane na Dzikim Zachodzie, a zuchy urządziły prawdziwy western. Tego samego rodzaju próbę przeszedł „Wulkan" podczas Dnia Harcerza Starszego, a „Gwiezdne Żaki" podczas Dnia Harcerza.

Myślę, że uczestnicy obozu po powrocie do swoich drużyn pracują z zapałem. Wierzę, że pobyt na HAW-ie dał im, jak sami mówili, naprawdę dużo i że prowadzone przez nich zbiórki zyskały tym samym na atrakcyjności. Życzę im powodzenia w harcerskiej pracy i... mam cichą nadzieję, że inne komendy chorągwi ZHP pójdą za przykładem olsztyńskiej: gdy znów przyjdą wakacje, harcerze z całego kraju będą mogli uczyć się i szkolić, jednocześnie wspaniale bawiąc, na obozach Harcerskiej Akademii Wiedzy.

Ewa Podhajna
korespondentka HSI

zaraz potem do bramy wszedł patrol niemiecki, który na wezwanie „Rudego" do oddania broni, odpowiedział ogniem. W wyniku strzelaniny, która się wywiązała, patrol niemiecki zlikwidowano, lecz drobne zranienia odnieśli „Rudy" (w udo) i „Zośka" (w piętę!). Harcerze w spokoju ewakuowali się z „oczyszczonego" już mieszkania i opuścili budynek. Ubezpieczająca odwrót kolegów sekcja „Alka", wycofując się, już zza rogu ulicy dostrzegła podjeżdżającą pod budynek „budę" z żandarmami.

12) **Ul. Różana 36.** Tu w typowej dla warszawskiego Mokotowa dużej, piętrowej willi, w mieszkaniu zajmowanym samotnie przez 16-letniego harcerza Jerzego Horczaka – ps. „Wróbel" (rodzice chłopca zostali aresztowani) mieścił się przez pewien czas jeden z magazynów broni harcerskich Grup Szturmowych.

W nocy z 4 na 5 sierpnia 1943 r. do drzwi mieszkania zaczęło dobijać się Gestapo. „Wróbel" najpierw próbuje użyć podstępu: płaczliwym głosem dziecka mówi, że mamusi nie ma, a on nie może otwierać obcym. Gdy Niemcy nie ustępują „Wróbel" nagłym ruchem otwiera drzwi i oddaje kilka strzałów, po czym natychmiast zatrzaskuje drzwi i uskakuje pod ścianę. Niemcy strzelają seriami z peemu. „Wróbel" odpowiada na nie kilkoma strzałami, a następnie biegnie do okna, odsłania roletę i widząc stojącą tuż obok żandarmską „budę", otwiera okno i rzuca przez nie granat w kierunku samochodu. Dym i kurz po wybuchu zasłania wszystko, ale na schodach znów strzela niemiecki pistolet maszynowy. Wtedy chłopak przebiega przez linię strzałów pod

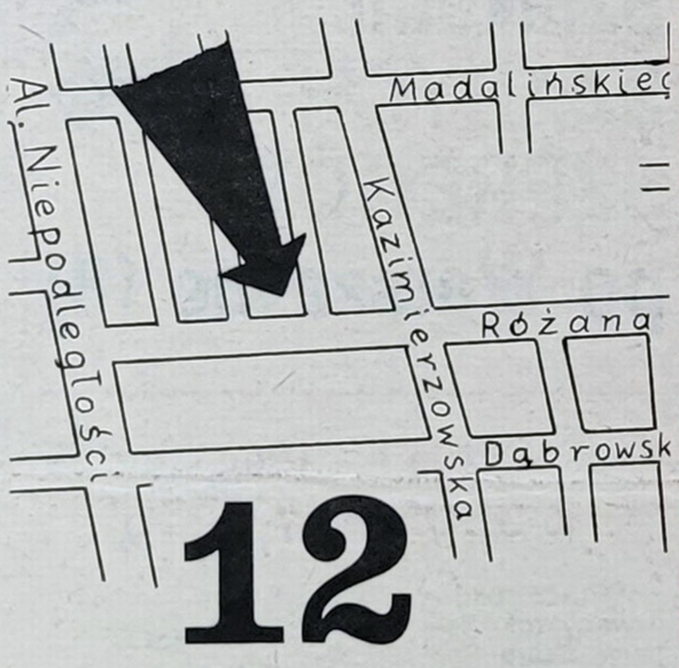

drzwiami, otwiera okno od podwórza, wyskakuje, podkrada się pod drzwi klatki schodowej i ciska w nią drugi granat. Następny wybuch wstrząsa domem, a „Wróbel" korzystając z zamieszania wskakuje z powrotem do mieszkania, zbiera najpotrzebniejsze rzeczy i wraz z będącym pod jego opieką młodszym kuzynem wyskakują do ogrodu. Wykorzystując zrobione tu przejścia w siatkach i płotach uchodzą z zagrożonego terenu. Niemcy jeszcze długo „zdobywali" opuszczone mieszkanie na Różanej.

OLGIERD LEWAN
Fot. **Mieczysław Włodarski**

Chciałabym być wysoka!

Piszę do RP w sprawie listu Moniki (nr 29 „ŚM") i „Spagetti"(nr 84 „ŚM"). Obie dziewczyny przejmują się, że są wysokie, a nawet mają z tego powodu kompleksy. Na pewno nie tylko one zamartwiają się swoim wzrostem...

Mam 15 lat i tylko 159 cm wzrostu; jak się domyślacie – strasznie chciałabym urosnąć. Wielu czytelników powie – jeszcze masz czas, jeszcze urośniesz. Wątpię. Moi rodzice są również niskiego wzrostu i nie wydaje mi się, bym mogła być wyjątkiem w rodzinie i urosnąć. Pomóżcie, poradźcie co zrobić by być wyższą, by urosnąć.

Monika – „Mała"

Nie szpanuj

Jestem 15-letnim chłopcem, uczniem VII klasy. Chcę przestrzec Was przed błędem, który ja sam popełniłem, a wiem, że i niektórzy z Was to robią. Mam na myśli palenie papierosów.

Gdy chodziłem do III klasy, pierwszy raz włożyłem papierosa do ust. Paliłem tę truciznę aż do momentu, gdy zapisałem się do szkolnego koła turystyki pieszej. Wtedy zrozumiałem, że zdrowie ma się jedno. Turystyka stała się moim drugim światem, w którym czuje się dobrze, wyjeżdżam na wycieczki, obozy wędrowne i wiem, że już nigdy nie zapalę.

Proszę Cię, jeśli palisz, to pomyśl co robisz, po co to w ogóle robisz i czy coś zyskasz na tym, że zaszpanujesz przed innymi.

Waldemar

Natrętna młodsza siostra

Różowy Paseczku! Piszę do Ciebie po raz pierwszy. Do napisania tego listu skłonił mnie list „Niewinnej" (nr 94 „ŚM").

„Niewinna"! Jestem Twoją rówieśniczką. Mamy podobny kłopot. Ja też mam siostrę w wieku Twojego brata. Jest nie do zniesienia i zawsze muszę się z nią bawić. Mama wciąż mi mówi, żebym była dla niej milsza. Ja jej po prostu nie umiem polubić. Ciągle się z nią kłócę. Szczególnie nie lubię w niej tego, że każda moja koleżanka musi być i jej koleżanką. Zawsze chce chodzić ze mną na urodziny moich kolegów i koleżanek. Zawsze chce wiedzieć co ja robię.

Jak nie zwracam na nią uwagi, to mama na mnie krzyczy. Alka (imię mojej siostry) ciągle zarzuca mnie pytaniami, np.: kto jest moim chłopakiem itp. Staram się z tym pogodzić, ale to nie jest łatwe.

Aśka z Warszawy

Czy już zapomnieliście?

Mam 12 lat i zdałam do szóstej klasy. Podczas wakacji byłam na kolonii w Gdyni-Obłuży (na pierwszym turnusie). Było bardzo fajnie! Cała kolonia była zgrana. Nikt nikomu nie zrobił przykrości. Miałam wiele wspaniałych koleżanek i kolegów, byliśmy jak rodzina. Jednak wszystko co dobre szybko się kończy. Ostatnie pożegnania, uścisk rąk. Obiecaliśmy sobie, że będziemy ze sobą korespondować.

Po powrocie do domu zaczęłam pisać listy i jak najprędzej je wysłałam. Teraz czekam i czekam, i nie mogę się doczekać na odpowiedzi. Nikt nie odpisuje. Czy zapomnieliście o koloniach? O mnie? O wszystkim?

Kochany różowy paseczku, proszę o wydrukowanie mojego listu. Wiele moich koleżanek czyta „Świat Młodych", może gdy przeczytają mój list, zastanowią się i napiszą do mnie?

Gośka z X grupy

MŁODZI I FILM

Latem nad morze jeździ się po słońce. Po słońce i dla kąpieli w wodzie, która już coraz rzadziej do tej kąpieli się nadaje. Romantycy lubią nadmorskie zachody i spacery po plaży, na której wciąż jeszcze można podobno znaleźć okruchy bursztynowego szczęścia. W sierpniu po bursztyny nad morze wędrują także... filmy. Po bursztyny, bo „Jantarami" właśnie nazywają się nagrody Koszalińskich Spotkań Filmowych „Młodzi i Film". W tym roku już po raz siedemnasty spotkali się na nich młodzi twórcy i młodzi widzowie.

Bursztynowe filmy

Z roku na rok jest w Koszalinie więcej filmów i mniej czasu na morskie, wakacyjne atrakcje. Konkurs główny objął już nawet także filmy zagraniczne, a przecież obok niego rozgrywają się jeszcze trzy inne: kinowych i telewizyjnych debiutów krótkometrażowych. Do tego doszły jeszcze filmy nagrodzone na podobnym festiwalu w Turynie (organizatorzy mają nadzieję na stałą dalszą współpracę tych dwóch imprez), interesujący przegląd retrospektywny debiutanckich filmów takich reżyserów jak Fellini, Cassavetes, Godard, Pasolini, Forman i Spielberg, przegląd młodego kina węgierskiego „Hyde Park" z filmami spoza oficjalnego obiegu, prezentacje polskiego kina animowanego, sekcja informacyjna, cykl wykładów, no i tradycyjne już dyskusje „Szczerość za szczerość", kończące późną nocą każdy festiwalowy dzień. A że zaczynał się on już o dziewiątej rano, najaktywniejsi widzowie spędzali w sali kinowej po kilkanaście godzin dziennie.

Koszaliński festiwal różni się od innych, to filmy młodych oceniają młodzi. Czternastu sprawiedliwych (patrz foto!), jak nazwała jury festiwalowa jednodniówka „Klaps", to w dużej części uczniowie i studenci, z których tylko dwoje przekroczyło dwadzieścia pięć lat.

„Ostatni dzwonek"

„Hola, jeszcze poczekajcie!" – powiedziała Magdalena Łazarkiewicz kilka lat temu w Koszalinie, gdy po projekcji filmu „Przez dotyk" postawiono jej zarzut, że nie realizuje filmów o naprawdę ważkiej problematyce. I zrealizowała. Prezentując teraz swój **„Ostatni dzwonek"**, skomentowała go następująco: „To moja świadoma prowokacja, chęć spowodowania dyskusji na temat współczesnej polskiej szkoły, bo nie ma w tej sprawie takiego krzyku, który byłby nieusprawiedliwiony".

I krzyku było w filmie rzeczywiście dużo. A – jak powiedział ktoś w czasie nocnej dyskusji – jego młodym bohaterom niszczonym przez nauczycieli – w ostatniej scenie brakowało tylko aureoli nad głowami. Ale cokolwiek by się powiedziało o przerysowaniach karykaturalnych cech dorosłych i pozytywnych cech młodych, o pewnych uproszczeniach czy niekonsekwencjach scenariusza, film był festiwalowym wydarzeniem, entuzjastycznie przyjętym przez widzów i słusznie nagrodzonym przez jury Grand Prix – Wielkim Jantarem '89. Sądzę, że wkrótce tę historię maturalnej klasy, która od szczeniackiej negacji wszystkiego przechodzi do świadomego buntu, będzie już można obejrzeć na naszych ekranach, więc polecam ją wszystkim gorąco.

W konkursie głównym wyróżniono dwa filmy: jugosłowiański **„Kawka"** (reż. Misa Radivojević) oraz węgierski **„Zanim nietoperz zakończy swój lot"** (reż. Peter Rimar). Grający w tym pierwszym główną rolę, Slobodan Negić, zwyciężył w plebiscycie o miano najlepszego aktora filmów konkursu głównego. Slobodan nie ma jeszcze z pewnością piętnastu lat, a film, w którym gra, jest historią niebanalnej przyjaźni dwóch nastolatków z dwóch różnych środowisk, przy czym i tu reżyser nie szczędzi krytycznych uwag dorosłym – nauczycielom i rodzicom. Jednak właśnie nauczyciele przyznali „Kawce" swoją nagrodę im. prof. Bolesława Lewickiego, przeznaczoną dla filmu o szczególnych walorach wychowawczych. Miano najlepszej aktorki plebiscyt przyniósł Annie Zacharias ze Szwecji, która jest scenarzystką, reżyserem i wykonawczynią jednej z dwóch ról filmu **„Test"**.

Sądzę, że na Wasze zainteresowanie może także liczyć film NRD reż. Dietera Schmumanna pt. **„Szeptać i krzyczeć"**, próbujący w dokumentalnej formie zgłębić zjawisko popularności muzyki rockowej u naszego zachodniego sąsiada. Na ekranie występuje kilkanaście tamtejszych czołowych zespołów, wypowiadają się muzycy i publiczność.

„300 mil do nieba"

W konkursie kinowych debiutów pełnometrażowych Jantar'89 przypadł filmowi reż. Leszka Wosiewicza **„Kornblumenblau"**, przynoszący różny od dotychczas znanych z ekranu, obraz życia w obozie oświęcimskim. Bohaterem jest młody chłopak wspinający się na szczyt obozowej hierarchii. Ten zaskakujący temat ukazuje jednak szerszy wymiar prawdy o człowieku rzuconym w tak krańcową sytuację.

Wyróżnienia przyznano znanemu już z ekranów **„Konsulowi"** reż. Mirosława Borka (znakomita rola Piotra Fronczewskiego i jedyna chyba na festiwalu okazja do śmiechu na widowni) oraz filmowi reż. Macieja Dejczera pt. **„300 mil do nieba"**. On także został laureatem przyznawanej w tym roku po raz pierwszy nagrody Bursztynowego Wektora, którą ustanowiło Koło Młodych przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich.

Podejrzewam, że gdyby na koszalińskim festiwalu przyznawano nagrodę czytelników „Świata Młodych", to otrzymałby ją właśnie film Dejczera. Osadzony bardzo mocno w polskich współczesnych realiach (choć w dużej części rozgrywa się w ... Danii) i prezentujący troje polskich nastolatków, do których przeżyć i odczuć może się pewnie przymierzyć wielu z czytających te słowa. W dodatku opowiada on historię prawdziwą – stanowiąca jej punkt wyjścia sprawa ucieczki polskiego rodzeństwa do Szwecji narobiła kilka lat temu sporo szumu. „Mój film nie mówi o patriotyzmie, mówi o innych wartościach, o poczuciu wolności" – zastrzegał się podczas dyskusji reżyser, ale dla mnie wymowa tego, co zobaczyłem na ekranie, nie była z tym do końca zgodna i wzbudziła pewne wątpliwości. Piszę te słowa w dniu wyboru nowego polskiego premiera i choć może jest to niepotrzebny pozafilmowy wtręt w tę relację, to chciałbym w każdym razie, żeby jak najprędzej usprawiedliwienie takich desperackich czynów przeszło do historii.

Z nie zauważonych przez jury filmów w tej kategorii wymieniłbym jeszcze **„Stan wewnętrzny"** reż. Krzysztofa Tchórzewskiego, którego bohaterka, polska żeglarka odbywając samotny rejs dookoła świata dowiaduje się o wprowadzeniu stanu wojennego. Reakcja władz, jej przyjaciół i jej samej to treść filmu rozgrywającego się głównie wśród działaczy „Solidarności" po 13 grudnia 1981 roku.

Król przegrywa swój mecz

W konkursie telewizyjnych debiutów pełnometrażowych Jantara '89 otrzymała reż. Alina Skiba za film **„Serenite"** zrealizowany według dwóch opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza. Swoją nagrodę – im. Wojciecha Wiszniewskiego – przyznali jej również uczestniczący w spotkaniach dziennikarze. Znakomicie budowany nastrój, dobrze prowadzeni aktorzy, dbałość o realia, refleksyjność wspomnień z młodości filmowych bohaterów, prawda o przemijaniu – to walory tego obrazu, który – podobnie jak proza wybitnego pisarza – może zainteresować nieco starszego widza.

Z założenia twórców młodszego widza miały zainteresować dwa inne filmy telewizyjne: **„Król komputerów"** reż. Pawła Solskiego i **„Mecz"** reż. Roberta Tutaka. Niestety wątpię, czy mogą na to liczyć. Są nieprawdziwe, wydumane. źle zagrane.

CIĄG DALSZY NA STR. 4

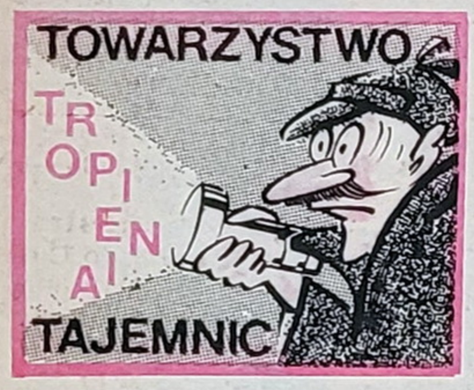

Duchy stare i nowe

Myślę, że tropiąc opowieści o duchach, zwróciliście uwagę, na fakt, że wieści z tamtego świata przekazywane są najczęściej przez stare i wypróbowane kadry. Na zamkach, basztach, w podziemiach wciąż straszą te same zjawy – mimo upływu stuleci, systematycznie, punktualnie i pracowicie wywiązują się ze swoich obowiązków. Każda z nich ma zresztą ściśle określony rejon działania oraz tradycyjny wygląd. Raz bywa to krwawy upiór, który wyje i zawodzi. Czasem jest to prześliczna panienka cała w bieli, wiodąca swym słodkim śpiewem upatrzonych młodzieńców wprost do przepaścistej studni. Kiedy indziej znów – stara, koszmarna zmora, której upiorny śmiech o północy jeży wszystkim włos na głowie...

A współczesnych duchów, z dużo krótszym życiorysem i niewielkim stażem pracy, mamy zdecydowanie mniej! Może miejsca, w których mogłyby się nam dziś pokazywać, są do tego celu zupełnie nieprzystosowane i mało romantyczne? Czy ktoś spotkał ducha w ciasnej windzie wieżowca lub w bufecie na dworcu PKS? U kogo pracowita zjawa domowa posprzątała w kuchni po imieninach? Komu wyniosła kubeł śmieci albo doradziła w chwili wahania, żeby prędko kupować pralkę, bo jej potem nie będzie?

Może dziś – w dobie płyt kompaktowych, lotów wahadłowców i telewizji satelitarnej, wiara w duchy staje się niemodna? Albo może duchy, same widząc co się teraz na świecie wyrabia, nie chcą się mieszać do naszych ziemskich spraw, bo wielokrotnie byłyby całkowicie bezradne?...

Nie jest jednak aż tak źle – bo w porcji wakacyjnych listów, nadesłanych w odpowiedzi na hasło „Uwaga, duchy!", znalazłam również kilka takich, których bohaterowie mają rodowody całkiem współczesne. Obok nich – znajdziecie wiadomości o duchach tradycyjnych, z dużym doświadczeniem w straszeniu...

(tem)

Tajemniczy uśmiech strażnika

Od niepamiętnych czasów na zamku Grodno pojawia się Biała Dama. Nikt nie wie dokładnie, co to za tajemnicza zjawa. Jedni mówią, że to duch uśmierconej przed wiekami niewiasty z Zagórza, którą zły burgrabia wtrącił do więzienia. Inni powiadają, że to duch dawnej pani zamku, która ze zgryzoty po utracie męża rzuciła się przy świetle księżyca do studni, a jeszcze inni twierdzą, że to wiecznie pokutujący duch księżniczki pogańskiej, która nie przyjęła wiary chrześcijańskiej i przyczyniła się do okrutnego morderstwa na przybyłym tu z Dobrą Nowiną misjonarzu.

Biała Dama była już przyczyną różnych zdarzeń, o których najlepiej mogłyby opowiedzieć sędziwe mury tego zamczyska. Kiedyś burgrabia chciał ożenić swego syna, który już i wiek osiągnął dojrzały, i wojować dzielnie potrafił. Ten jednak, gdy powrócił z kolejnej wyprawy, ujrzał przelotnie na zamku piękną dziewczynę, której nie mógł zapomnieć. Na nic zdały się perswazje i nalegania ojca. Zakochany młodzieniec wierzył, że jego wybranka pojawi się tu jeszcze i wówczas poprosi ją o rękę. I rzeczywiście, pewnego wieczoru ujrzał ją znowu, podążył za nią na górny dziedziniec, a gdy owa wysmukła, piękna

postać zniknęła w głębokiej studni – rzucił się tam również. Od tego czasu jego duch błąka się także po zamkowych komnatach...

Innym razem rzecz miała się całkiem inaczej. Na zamek zjechało mnóstwo gości, by hucznie zabawić się do samego rana. Razem z rodzicami przybyła też młoda i piękna Adelajda z przesławnego na Śląsku rodu Szafgoczów. Nie od dziś adorował ją dzielny rycerz Bernard z Hugowiczów. Po kilkugodzinnych ceremoniach męskie grono – wedle ówczesnych obyczajów zebrało się w sali rycerskiej (na „nocne mężczyzn rozmowy"), zaś niewiasty podejmowała pani domu w swoich komnatach. Z okien tych komnat roztaczał się wspaniały widok na dolinę Bystrzycy. Było już ciemno, gdy piękna Adelajda zapragnęła wyjść na dziedziniec, by zaczerpnąć świeżego powietrza i rozkoszować się romantyczną okolicą. Bardzo dyskretnie opuściła zatem towarzystwo i niepostrzeżenie przemknęła przez korytarz. Przy sali rycerskiej zauważył ją jednak czujny i wyczekujący tylko tej okazji Bernard. Odczekał więc chwilę, a kiedy przez okno ujrzał białą postać wychodzącą już z sieni na dziedziniec – szybko podążył za nią.

– Adelajdo, to ty? – spytał półgłosem. Ona tylko skinęła na niego i wolnym krokiem podeszła do studni. Na moment jakby zastygła w bezruchu i nagle zniknęła w jej głębi. Nieszczęsny Bernard z przerażenia zaczął wzywać pomocy. Wszyscy zerwali się na równe nogi i przybiegli, by zobaczyć co się stało. Przybiegły też młode szlachcianki na czele z ...Adelajdą. Gdy młody rycerz ujrzał ją całą i zdrową, rzucił się do jej stóp i wyznał otwarcie swą miłość, zaś rodzice młodych (cóż było robić) udzielili im swego błogosławieństwa.

A zatem wszystko skończyło się szczęśliwie, zaś całą tę historię złożono na karb młodzieńczej wyobraźni. Tylko stary zamkowy strażnik uśmiechał się tajemniczo i spoglądał w miejsce, skąd najczęściej rozpoczynała swą wędrówkę nieznajoma Biała Dama.

Anetta Welss
Świdnica

Motorniczy sprzed lat

Pan Jan jest starym, znakomitym motorniczym. Dawno minęło ćwierć wieku jego służby w tak potrzebnym społecznie zawodzie. Nigdy nie miał żadnego wypadku, choć było wiele sytuacji grożących kraksą. Ale kilka lat temu zdarzył mu się niezwykły przypadek. Dawno minęła już północ. Nocny tramwaj, opustoszały jechał normalną trasą. Pełnia księżyca znakomicie oświetlała całe torowisko. Na ulicach nie było żywego ducha. Pan Jan cichutko nucił starą melodię, dobrze znaną mu z lat dzieciństwa. Nagle, gdy tramwaj dojechał do mijanki przy stawikach (duże wyrobiska piaskowe zalane wodą podskórną), ni stąd ni zowąd przed szybą wyrosła ściana mgły. Przybliżała się szybko, jakby chciała przeniknąć do środka. Co się stało, co to za niezwykłe zjawisko – pomyślał i zaczął hamować tak raptownie, że aż zazgrzytały hamulce. Włos mu się trochę zjeżył ze strachu. Różne dziwne myśli przychodziły do głowy, ale nie miał wyjścia. Zatrzymał tramwaj i czekał, aż mgła opadnie. Po jakimś czasie zaczęła się ona rozrzedzać i wówczas zauważył majaczącą we mgle postać jakie-

CIĄG DALSZY NA STR. 4

MŁODZI I FILM

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

Choć szczególnie drugi z nich zawierał trochę dobrych obserwacji obyczajowych i dobrą grę Joanny Szczepkowskiej w roli matki dorastającego syna.

„Piłowanie"

W konkursie debiutów krótkometrażowych Jantara '89 zdobył Paweł Sala za film **„Stygmatyczka"**. Jego bohaterką jest Katarzyna Szymon, zmarła przed przystąpieniem do realizacji filmu, budowanego z konieczności już tylko z relacji świadków i utrwalonych wcześniej materiałów wideo. Problem występowania stygmatów – śladów przypominających rany ukrzyżowanego Chrystusa pojawiających się na ciele – to zjawisko interesujące z punktu widzenia wielu dziedzin nauki. I tak próbuje przedstawić je Paweł Sala w swym filmie.

Wyróżnienie zdobył w tej kategorii reż. Grzegorz Królikiewicz za zrealizowany przed wielu laty i dotąd nie prezentowany film o służbie wojskowej pt. **„Mężczyźni"**. Nagrodę redakcji „Sztandaru Młodych" otrzymał film **„Piłowanie"** reż. Teresy Kotlarczyk. I mnie ten zbiorowy portret wychowanków domu poprawczego podobał się najbardziej. A że zawarłem już w tej relacji kilka pobożnych życzeń i przy jego okazji pozwolę sobie na ostatnie. Oby taka „obróbka" młodych ludzi, owo tytułowe „piłowanie", z którym chłopcy stykają się nie tylko w czasie pracy w warsztatach, zniknęła jak najprędzej i na zawsze z każdego miejsca, o którym mówi się, że tam się wychowuje.

JAROSŁAW LISIECKI

PS. Organizatorzy koszalińskiej imprezy nie zapewnili niestety fotosów z prezentowanych polskich filmów. Mogę więc tylko zaprezentować fragment dekoracji, w które ubrano z okazji spotkań miasto, a także sympatyczne choć „biało-czarne" jury, które nagrodziło omówione przeze mnie filmy.

Pamiętajcie o Einsteinie...

(PAP). Lekarze i nauczyciele uznali kiedyś, że chłopiec o imieniu Albert nie będzie nadawał się do żadnej pracy umysłowej. Mając dwa lata nie potrafił bowiem wypowiedzieć ani jednego słowa. Ten chłopiec nazywał się Einstein...

Dziś to, co nazywamy inteligencją, mierzy się za pomocą wymyślnych testów, ale mimo wszystko nie można jej ocenić w sposób doskonały. Testy odzwierciedlają bowiem tylko pewien przejaw inteligencji – logiczne rozumowanie, a przecież tych przejawów jest więcej, jak chociażby poczucie humoru, zdrowy rozsądek itd. Z pewnością znają historię Einsteina oraz współczesne metody oceny inteligencji ci, którzy przystąpili do testów (pisaliśmy o nich już w „ŚM") zorganizowanych pierwszy raz w Polsce przez międzynarodowe stowarzyszenie „Mensa", do którego należą ludzie o najwyższym ilorazie inteligencji. Cykl testów przygotowano w początkach czerwca w Uniwersytecie Warszawskim. Zakwalifikowało się do nich 1,1 tys. osób z całej Polski, które wyłonione zostały w wyniku eliminacji przeprowadzonych we współpracy z „Mensą" przez tygodnik „Razem".

Testy w Warszawie prowadzone były pod kierunkiem dyrektora organizacji – mającej siedzibę w Londynie – Edwarda Vincenta. Oto co mówił on o tym niezwykłym stowarzyszeniu:

– *„Mensa" liczy 95 tys. członków z ponad 100 krajów. Organizacja nie ma jednak żadnej ideologii, nie głosi oficjalnych poglądów. Jest dobrowolnym stowarzyszeniem ludzi, którzy w wyniku testów psychologicznych uzyskali najlepsze wyniki. Członkiem „Mensy" może zostać ten, którego wynik mieści się w 2 proc. najlepszych rezultatów.*

Stowarzyszenie powstało w 1946 r. w Oxfordzie. Założył je adwokat L.L. Ware. Snuł on projekty „związku wybitnych umysłów", który mógłby wnieść znaczący wkład do wielu dziedzin życia społecznego. Ware był jednak zbyt ambitny. Współcześni członkowie „Mensy" wiedzą, że w taki, w końcu sztuczny sposób nie można „zbawić świata". Przekonani o tym (są przecież inteligentni) mają zupełnie inne cele. „Mensa" daje im z pewnością pewne poczucie własnej wartości, ale nie daje żadnych przywilejów. Stowarzyszenie organizuje spotkania, wymianę myśli, wspiera szczególnie uzdolnione dzieci. Spotkania są otwarte, dostępne nie tylko dla członków.

– *Interesujące, że „Mensa"* – jak powiedział E. Vincent – *nie popiera prywatnych, drogich szkół.* W W. Brytanii, gdzie takich elitarnych szkół jest niemało, stowarzyszenie wyszukuje możliwości kształcenia w nich dzieci z mniej zasobnych rodzin (informując o stypendiach, które nie są w pełni wykorzystane). „Mensa" jest organizacją niezależną; swą działalność finansuje tylko ze składek członków, by nie wiązać się z innymi instytucjami. Członkami „Mensy" są znane osobistości (np. Clive Sinclair, twórca komputerów personalnych, czy szef Forda), ale przede wszystkim są to zwykli ludzie, zwykłych zawodów (także sprzedawcy czy gospodynie domowe).

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

goś człowieka ubranego w przedwojenny uniform motorniczego. Doszedł go też ledwie słyszalny głos:

– Nie masz zegarka, nie wiesz jak opóźniłeś kurs, a ludzie czekają...

– Co to za halucynacje, co się dzieje, kto stanął mi na drodze, zaniepokoił się pan Jan i już do rana jeździł w napięciu. Przekazując swoją zmianę następcy, opowiedział o tym niewytłumaczalnym zjawisku. Medytując, dopiero po jakimś czasie przypomnieli sobie opowieść dużo starszego od nich kolegi, który zaraz po wojnie miał podobne zdarzenie, w tym samym miejscu, na tej samej trasie. Wtedy to wspomniano o jakimś poważnym karambolu, jaki miał miejsce jeszcze w latach trzydziestych, kiedy to – co wówczas było nie do pomyślenia – jakiś tramwaj się opóźnił i doszło do wypadku, w którym zginął jego motorniczy.

– Nic innego – doszli wspólnie do wniosku – tylko znowu ukazał się duch tego motorniczego i udzielił przestrogi.

Robert Żabówka, junior
Sosnowiec

Mój duszek domowy

Było to dawno, chyba sześć lat temu. Pewnej nocy przebudziłam się i nie mogłam już zasnąć. Rozglądałam się więc po pokoju, aż w oknie ujrzałam dziwnego duszka. Miał jajowatą małą główkę, dwa ostre różki, długie czarne, kręcone włosy i około 50 cm wzrostu. Ubrany był w szatkę o ciemnych kolorach i

był bosy, a lewa jego noga była dłuższa!

Agnieszka Musiał
Kluczbork

Alchemik z nowosądeckiego rynku

Michał Sędziwój znany w całej siedemnastowiecznej Europie jako „książę alchemików", pochodził z okolic Nowego Sącza i w tym mieście brał chyba pierwsze nauki. Ambitny młodzieniec chciał znaleźć sposób zamieniania metali nieszlachetnych w czyste złoto. A że odziedziczył po ojcu spory majątek, więc wyruszył w podróż po Europie. Przejeżdżając przez Saksonię uwolnił z więzienia włoskiego alchemika Sethona, wtrąconego do lochu za to, że chciwemu księciu Christianowi nie chciał wyjawić tajemnicy zamieniania ołowiu w złoto. Wdzięczny Sethon podarował swojemu wybawcy uncję proszku, który zamieniał kilogram ołowiu w kilogram złota. Nastały więc teraz dla niego czasy dostatku. Sędziwój przyjechał na pewien czas do Nowego Sącza – miasta swej młodości, potem udał się do Warszawy na dwór Zygmunta III Wazy, ale tam nie udało mu się srebrnych monet zamienić w złoto (zostały jedynie powleczone bardzo cienką warstwą złota). Kupił więc na Śląsku majątek i tam spędził ostatnie lata swego życia. Po jego śmierci

widywano go na nowosądeckim Rynku jak szedł z podniesioną głową i rozrzucał dookoła siebie złote krążki. Kto go spotkał w noc sylwestrową, tego czekało szczęście.

Maciej Król
Stronie

Już nie straszy!

Będąc na wycieczce w Radziejowicach (niedaleko Rawy Mazowieckiej) zwiedziłam tamtejszy zamek. Jeszcze starzy ludzie mieszkający w okolicy niekiedy wspominają czasy, gdy w radziejowickim zamku straszyła „Biała Dama". Miała nią być Katarzyna Radziejowska, córka Jędrzeja z Radziejowic, wojewody rawskiego. Była to osóbka piękna, ale i bez skrupułów. Miała ona romans z dwoma ostatnimi dziedzicami książęcej korony mazowieckiej, Januszem i Stanisławem, ostatnimi suwerennymi władcami Mazowsza. Czyniła to ponoć z cichego rozkazu Zygmunta Starego.

Aż pewnego razu dwaj ostatni książęta mazowieccy zmarli śmiercią gwałtowną, otruci po kolacji z wojewodzianką. W podobny sposób zeszła ze świata ich matka. Współcześni zaczęli mówić o Katarzynie Radziejowskiej jako o sprawczyni ich zgonu. Sprawa stała się głośna i Zygmunt Stary powołał specjalną komisję, która orzekła, że śmierć Janusza i Stanisława była naturalna.

O Katarzynie Radziejowskiej przestano mówić źle. I dopiero po latach jej duch począł odbywać pokutę w murach zamkowych, gdyż wiadomo, że kary najczęściej odbywać w miejscu, gdzie popełniono lub przygotowywano zbrodnie.

Widziano ją, jako zjawę w powłóczystych, białych szatach, gdy spacerowała po komnatach ze spuszczoną głową, a ciszę nocną raz po raz przerywały żałosne szlochy i pojękiwania.

Obecnie Biała Dama nie straszy. Może już skończyła swą pokutę?

Kaśka Roguz
Mielec

Nie lubi baleronu?

Czarne widmo sunęło wzdłuż rowu. Obejrzałam się. Duch (jeśli można to tak nazwać) szedł wolno, majestatycznie, a trawy jakby się rozstępowały na jego widok. Nie! Szedł – to złe określenie – on płynął w powietrzu!

Przeszłam przez płot i pobiegłam dalej. Nie opodal drzew przystanęłam, aby zaczerpnąć powietrza. Mimo woli obejrzałam się znowu. Postać przemykała cicho pośród drzew, tak jakby bawiła się w chowanego. To tu wyjrzy, to znowu tam widać zza drzewka jej czarne ręce. Przestraszona wpadłam na podwórze. Drzewa wyraźnie szemrały: „Złóż ofiarę, złóż ofiarę". Wzięłam więc garść pszenicy, jajko oraz plasterek baleronu i poszłam pod krzywą brzozę – córkę Ducha Lasu. Na początek wysypałam pszenicę, na nią położyłam plasterek baleronu, a na to wszystko roztłuczone jajko. Gdy wracałam do domu, zobaczyłam na niebie dziwny odblask. Trwało to sekundę, lecz nie mógł być to błysk zbliżającej się burzy. Był on koloru pomarańczowego, żółtego, kształtem przypominał... ostrze kosy!!!

Noc minęła pełna grozy, strachu i niepewności. Z drugiej strony jednak byłam ciekawa, co będzie jutro?! Rano pobiegłam pod brzozę. Ofiara nie została przyjęta! Za to po południu dostałam dość wysokiej gorączki i miałam silne bóle żołądka. Przesiedziałam, przeleżałam dwa dni w domu. A potem już nigdy nie widziałam owej postaci. Czasami jeszcze mi się ona śni. Może nie uwierzycie, ale ja chyba jestem normalna i naprawdę to widziałam! A może mam jakąś wadę wzroku?!!

„Faraon"

Ptaki, których nie znamy

KLEJNOT GLINIANYCH ŚCIAN

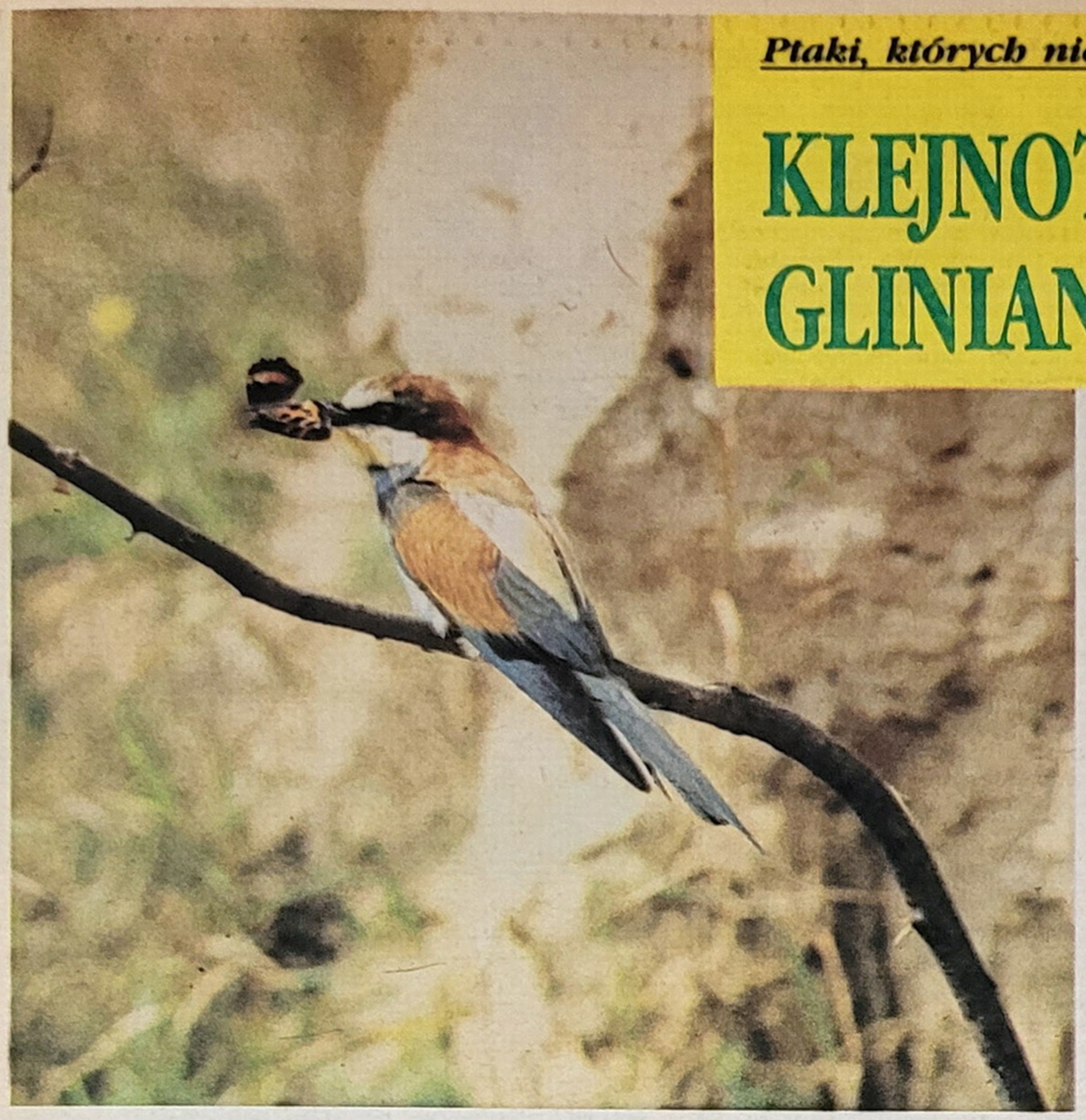

Barwna żołna łapie barwne motyle

Aż trudno uwierzyć, w jak niecieka-wych, brzydkich, wręcz szkaradnych miejscach mogą żyć najciekawsze, najpiękniejsze, a przy tym – najrzadsze z naszych ptaków.

Oto kawałek pejzażu, jaki zwykło się nazywać księżycowym. Żółte, gliniaste urwisko wokół starej cegielni. Jej czarny komin wznosi się nad tym nieledwie pobojowiskiem, gdzie wśród gliniastych kolein poniewierają się stosy popękanych cegieł, betonowych płyt, starych opon, żużlu i mnóstwo różnorakiego śmiecia. Tu i ówdzie przysiadły domki-lepianki. Wśród zarośli włóczą się półdzikie psy, a między szopami podejrzani panowie zasiadają z flaszeczką. Tuż obok dudnią przelatujące pociągi, dymi elektrownia. Smętny światek z peryferii uprzemysłowionego miasta, skrawek zaniedbanej ziemi, nad którym dziś nie warto się biedzić, skoro i tak w przyszłości staną tu nowe bloki, zakłady, osiedla.

I oto wśród tego rozmamłanego pejzażu pojawia się nagle prawdziwy klejnot. Ptak tak barwny, jakby żywcem był wzięty z bajki lub rysunkowego filmu, a co najmniej – jakby przyleciał z egzotycznych krain. To ostatnie jest zresztą w pewnym stopniu prawdą. Ów ptak, niepodobny do żadnego z zamieszkujących nasze ziemie, a odrobinę przypominający pokrojem jakiegoś dużego kolibra – to żołna, która swe główne lęgowiska ma daleko na południe od Polski.

Żołna należy do rzędu kraskowatych, a żyje na południu Europy i Azji. Już w takich nieodległych krajach jak Węgry i Rumunia jest ptakiem dosyć pospolitym. Jako gatunek stepowy trzyma się miejsc gliniastych, słonecznych i dość suchych. Odpowiada jej krajobraz węgierskiej puszty, chętnie też sprowadza się do lessowych wąwozów, gdzie może zakładać kolonie gniazdowe. Jest ruchliwa i doskonale lata, poniekąd lepiej niż jaskółka. Po ziemi nie chodzi (ma za krótkie i za słabe nóżki), co najwyżej pełza. Żywi się chwytanymi w locie owadami, w tym osami i pszczołami, co przyczyniło się do nadania jej drugiej nazwy – pszczołojad. Nazwa ta jest jednak myląca, gdyż przyznaje się ją u nas jeszcze drugiemu ptakowi – trzmielojadowi z rzędu drapieżnych. A zresztą nazwa żołna też była kiedyś myląca, bo nazywano czasem żołnami niektóre dzięcioły; np. dzięcioł zielony – to w dawnym języku ludowym „zielona żołna".

Prawdziwej żołny jednak u nas nie znano, choć ptaki te dość regularnie zapuszczają się na nasze ziemie. Ba, w literaturze z ubiegłego i obecnego stulecia jest kilka doniesień o przypadkach sporadycznego gwiazdowania tego południowego ptaka w naszym kraju. Ale dane te pochodzą tylko od wąskiego grona fachowców, nie zaś od przedstawicieli tzw. szerokiego ogółu, który nie zna żołny po dziś dzień.

Od połowy lat 60. można te ptaki obserwować każdej wiosny w jednym i tym samym miejscu – właśnie obok owej starej cegielni, o której mowa była na wstępie. Powstała tu kolonia lęgowa żołn, która miała okazać się trwała. Odkrył je pan Henryk Kurek, ornitolog z zamiłowania, a na co dzień pracownik firmy przewozowej FC „Hartwig". Jest to człowiek, którego chciałbym tu wszystkim ptakolubom postawić za przykład. Nie rezygnując z ogólnoprzyrodniczych i ogólnoornitologicznych zainteresowań, pan Henryk skupił jednak szczególną uwagę na dwóch gatunkach: żołnie i dzięciole syryjskim. Wybrał te, bo ze względów geograficznych miał szansę czynienia systematycznych obserwacji tych wciąż wyjątkowych w Polsce gatunków. W ciągu wielu lat dopracował się więc bogatego materiału obserwacyjnego i licznych publikacji, z którymi liczą się fachowcy. Oto sposób, w jaki będąc niby to amatorem, można stać się nieomal zawodowym badaczem.

Już prawie ćwierć wieku obserwuje p. Kurek żołnią kolonię. Rozwijała się ona ze zmiennym szczęściem: raz liczyła 30 i więcej gniazd, kiedy indziej tylko kilka. Np. w tym roku było ich zaledwie pięć. Gniazda, czyli nory w gliniastych ścianach, są czasem skupione blisko siebie, a czasem – jak właśnie w minionym sezonie – rozproszone po różnych urwiskach, których w pobliżu niemało. Zastanawiające, że mając do dyspozycji ściany bardziej zaciszne, zarośnięte i przez nikogo nie tykane, żołny wybierają chętnie te przy samej cegielni, gdzie koparki ciągle zdzierają z urwisk nowe warstwy gliny. Ale jak słyszę od p. Henryka – ptaki te lubią właśnie takie „świeże" ściany, których część dopiero co obsunęła się czy to w sposób naturalny, czy za sprawą człowieka. Znamienne, że raz obserwował pan Kurek parę, która zagnieździła się w samym środku jego urwiska, tuż nad ziemią, co bardzo ułatwia obserwowanie ich i fotografowanie. Trudno powiedzieć, ile cm nad ziemią znajdowała się ta wybrana przez nas nora, bo u stóp ściany w tym miejscu ktoś wykopał głęboki dół i zwalił doń całą masę potłuczonych statków. Ale żołnom to nie przeszkadzało. Z otworu nory co rusz wychylało się całkiem już opierzone pisklę, domagając się pożywienia. Nora miała w swoim dnie charakterystyczne dwie „rynny" wyryte łapkami pełzających od gniazda do wylotu korytarza i z powrotem młodych. Po takich „koleinach" można dość skutecznie odróżnić norę żołny od licznych w urwisku norek jaskółek brzegówek.

Tuż przy wylocie „mieszkania" ustawiliśmy płócienny namiot obserwacyjny, okrywając go chwastami. Żołny nie zlękły się tego ukrycia i karmiły młode. Ale uchwycenie na kliszę ciekawych scen z ich życia okazało się z różnych względów niełatwe...

Po pierwsze – ptaki te potrafią na długie godziny znikać z kolonii, nie zajmując się karmieniem młodych. Czynią to wszystkie osobniki naraz i kolonia wygląda, jak martwa. Po jakimś czasie nagle wszystkie wracają, obsiadają druty okolicznych linii energetycznych, po czym zaczynają polowania. Łowią, obok os, także ważki i motyle, tutaj zwłaszcza bielinki i rusałki. Ze schwytaną zdobyczą żołna siada na drucie lub gałązce, silnym uderzeniem o twardą podstawę zabija zdobycz, po czym zaraz leci z nią do gniazda. Ptaki tworzące parę chwytają co dwie – trzy minuty nową zdobycz, z taką też częstotliwością następują ich przyloty do gniazda. W tym czasie słychać ich znamienne, wibrujące głosy, brzmiące jak „pir-iu, pir-iu", lub bardziej melancholijnie „gur-liu, gur-liu". Po czym nagle ptaki zaprzestają łowów i znikają, a nad kolonią zalega cisza... Te falami nadciągające przyloty i odloty obserwuje się pod koniec lęgów. Tłumaczy się je tym, że część młodych opuszcza już gniazdo i lata wraz z rodzicami. Ci udają się wraz z nimi na dalekie loty i łowy „szkoleniowe", by jednak co jakiś czas powrócić na krótko „do domu" i zająć się karmieniem tych piskląt, które jeszcze pozostały w norach.

Gdy prowadziliśmy obserwacje, w norze były już ostatnie pisklęta, a być może tylko jedno. Na drugi dzień nora pozostała pusta. Nie zdążyliśmy więc zarejestrować zbyt wielu scen z życia tych barwnych ptaków. Zwłaszcza że sam przylot żołny do jej domostwa jest prawie nie do sfotografowania. Żołna nie przysiada u wyjścia korytarza, jak szpak lub dzięcioł u wylotu dziupli, tylko wlatuje tam jak strzała. Po nakarmieniu młodych, co ma miejsce w głębi 2-metrowego korytarza, wycofuje się tyłem. Nie zdąży jednak nawet wyłonić się cała z czeluści, a już rozwija skrzydła i błyskawicznie odlatuje. Mimo wszystko jesteśmy bardzo zadowoleni z tego niezwykłego spotkania.

Nasuwa się myśl, że to jedyne stałe stanowisko żołny w naszym kraju powinno być rezerwatem. Trudno jednak utworzyć rezerwat w... cegielni. A jej praca i związane z nią systematyczne odsłanianie nowych warstw gliniastej ściany jest niezbędnym warunkiem przetrwania unikatowej kolonii. Na szczęście kuratela pana Henryka i jego kolegów starcza za ochronę. Pełnią oni nie tylko rolę strażników, ale i przewodników. Kolonię odwiedzają bowiem krajowi ornitolodzy, a także goście z zagranicy. Pan Kurek mówi, że trochę mu wstyd za wygląd otoczenia unikatowego obiektu, ale pociesza się, że uroda żołn wynagradza zwiedzającym te niedostatki krajobrazu.

Należałoby poinformować na koniec, gdzie znajduje się to niezwykłe miejsce. Wybaczcie jednak, że o tym zamilczę. Gdy dziennikarz miejscowej prasy napisał o kolonii, zdradzając jej lokalizację, zaraz przyjechał jakiś myśliwiec i odstrzelił jednego z pięknych ptaków do wypchania. Niech ten smutny fakt wystarczy mi za usprawiedliwienie...

Tekst i zdjęcia
TOMASZ KŁOSOWSKI

Otoczenie kolonii nie wygląda zbyt zachęcająco...

Tuż obok jednej z nor lęgowych rozbijamy namiot obserwacyjny

Nora żołny ma charakterystyczne „wąsy" będące śladami łapek co rusz wychylających się przez otwór młodych

ZASADNICZA SZKOŁA GÓRNICZA
KOPALNI WĘGLA KAMIENNEGO „SOŚNICA"
44-103 GLIWICE-SOŚNICA,

ul. Gen. Sikorskiego 132
tel. 32-03-91 wew. 4380
OGŁASZA ZAPISY
NA ROK SZKOLNY 1989-1990

Szkoła kształci w następujących zawodach:
- górnik kopalni węgla kamiennego
- mechanik maszyn i urządzeń przeróbczych
- mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego
- elektromonter górnictwa podziemnego
- monter układów elektronicznych i automatyki przemysłowej.

Warunki przyjęcia.
1. Nie przekroczony 18 rok życia.
2. Ukończenie szkoły podstawowej.
3. Zaświadczenie lekarza górniczej służby zdrowia stwierdzające przydatność do zawodu górniczego. Skierowania na badania lekarskie udziela dyrekcja szkoły, do której należy się zgłosić osobiście.

Przy wpisie należy:
- złożyć do dyrekcji szkoły podanie podpisane przez kandydata oraz jego rodziców lub opiekuna
- złożyć ostatnie świadectwo szkolne
- za pośrednictwem dyrekcji szkoły zawrzeć umowę z zakładem pracy.

Szczegółowych informacji dotyczących przyjęcia do szkoły udziela dyrekcja szkoły.
Podanie należy złożyć niezwłocznie w dyrekcji szkoły.
Kopalnia prowadząca szkołę zapewnia:
1. Wysoką pomoc materialną w gotówce.
2. Ekwiwalent pieniężny za 2 tony węgla rocznie dla uczniów nie korzystających z zakwaterowania w internacie.
3. Premie w wysokości 50 proc. stawki miesięcznej pomocy materialnej płatnej w gotówce dla wszystkich uczniów klas I, II i III wyróżniających się dobrymi postępami w nauce.
4. 50 proc. stawki miesięcznej pomocy materialnej w gotówce w okresie ferii letnich (mies. lipcu i sierpniu).
5. Codzienny posiłek regeneracyjny podczas zajęć szkolnych dla wszystkich uczniów.
6. Umundurowanie.
7. Korzystanie z ferii szkolnych na równi z uczniami szkół zawodowych podległych Min. Edukacji Narodowej.
8. Bezpłatne wyposażenie uczniów w komplet podręczników i przyborów szkolnych na okres nauki w szkole.
9. Bezpłatne zakwaterowanie w internacie.

Ukończenie szkoły uprawnia absolwentów:
- do noszenia odznaki absolwenta Zasadniczej Szkoły Górniczej
- do wstępu do 3-letniego Technikum Górniczego dla młodzieży niepracującej,
- do uzyskania stanowisk, na które wymaga się kwalifikacji górniczych.

Absolwentom Zasadniczej Szkoły Górniczej zalicza się czas nauki do okresu pracy wymaganego do uzyskania specjalnego wynagrodzenia z Karty Górnika.

Dojazd do szkoły autobusem linii 32 lub 702 z Gliwic lub Zabrza.

OK/236

PRZYSZŁOŚĆ PO JAPOŃSKU

(PAP). Zbliża się koniec pracy. Urzędnik kilkoma ruchami wybija na komputerze kod swego domu i przekazuje własnemu komputerowi polecenia: przygotować kąpiel, posiłek, otworzyć garaż i włączyć magnetofon. Zanim człowiek dotrze do miejsca zamieszkania, wszystko będzie gotowe. Nawet po drodze nie musi się martwić o bezpieczeństwo w ruchu ulicznym. Tym także zajmą się komputery. Czujniki elektroniczne w razie zagrożenia same włączą układ hamulcowy.

Tak według japońskich specjalistów ma wyglądać w przyszłości powrót do domu ludzi żyjących w „komputerowym mieście". Zapewniają oni zarazem, że nie jest to wcale odległa przyszłość. – *Już teraz zaczęliśmy realizować niektóre idee tego projektu* – podkreśla prof. Ken Sakamura z Uniwersytetu Tokijskiego. Miasto będzie się nazywać Itichara i zacznie funkcjonować w 2000 r.

Wszystko zostanie w nim skomputeryzowane – domy, urzędy, sklepy itp. Wszystkie budynki będą też stanowiły jedną całość, jeden skomputeryzowany i zautomatyzowany organizm. Będzie się w nim żyło wygodniej – zapewniają Japończycy. W pierwszej fazie jego budowy zamieszka w nim około tysiąca osób, a 6 tys. będzie codziennie dojeżdżać tu do pracy.

Oto przykład jednego z budynków mieszkalnych, którego budowę już rozpoczęto. W jego murach, kolumnach, różnych zakamarkach i ramach okiennych umieszczonych zostanie kilkaset czujników elektronicznych. Będą też mechanizmy, którymi będzie można sterować za pośrednictwem komputera. Włączą one w żądanym pomieszczeniu światło czy kuchenkę mikrofalową. Podobnie będą wyglądały budynki administracyjne. Wszystkie miejsca pracy zostaną w nim całkowicie skomputeryzowane. Dla wypoczynku i relaksu na niektórych piętrach umieszczone będą niewielkie sady pełne zieleni i kwiatów. Będą one stanowić integralną część elektronicznego systemu wewnętrznego oczyszczania powietrza. Zautomatyzowana będzie także cała sieć transportu i to do tego stopnia, że na ulicach nie będzie trzeba stosować świateł sygnalizacyjnych. Wszystkim zajmą się komputery. Wyręczą całkowicie człowieka z wszelkich prac fizycznych i papierkowych. Ludzie mają się zająć wyłącznie pracą koncepcyjną.

Japończycy zamierzają także wybudować prawdziwą „Arkę Noego". Ma to być miasto-statek, zakotwiczone w Zatoce Tokijskiej, gdzie będzie się mieścił ośrodek biznesu i kultury. Pierwsi lokatorzy wprowadzą się do niego już za trzy lata. Wybudowanie takiego miasteczka będzie nas kosztować mniej niż wzniesienie nowych budynków w centrum Tokio – podkreślają uczeni. Pływająca wyspa będzie miała powierzchnię 40 tys. m kw. i wyporność 35 tys. ton. Znajdzie tu swą siedzibę co najmniej 100 firm i spółek. Powstaną także motele, centrum handlowe, placówki usługowe oraz duża sala kinowo-koncertowa. Wszystkie obiekty będą całkowicie zelektronizowane i skomputeryzowane.

ASIMOV, TOLKIEN, CLARKE...
CZEKAJĄ NA CIEBIE!

Jeżeli pragniesz na bieżąco otrzymywać nowości SF (wydawnictw państwowych jak i prywatnych – książki, gry, komiksy, itd.), skontaktuj się z pierwszą w Polsce specjalistyczną księgarnią SCIENCE FICTION, która prowadzi sprzedaż wysyłkową. Adres dla korespondencji: HOBBIT Sp. z o.o. ul. Dunikowskiego 7D/7, 80–526 Gdańsk.
(prosimy o załączenie zaadresowanej do siebie koperty zwrotnej wraz ze znaczkiem)
D-163

Liderzy szkolnego boiska

SKRZYDŁOWA

(Inf.wł.) Piętnastoletnia **Katarzyna Gargas** (na zdjęciu) do sportu trafiła przypadkowo. Lubiła przyglądać się zmaganiom koleżanek na szkolnym boisku, lecz nigdy nie przypuszczała, że sama kiedyś będzie uprawiała jakąś dyscyplinę. Szybką, sprawną dziewczynę niemal na siłę zaciągnęły koleżanki do klubu MKS „Beskid" Nowy Sącz, w którym trenowały piłkę ręczną. Już pierwszy kontakt Kasi z piłką wykazał, że jak mało kto nadaje się do tej gry.

Pierwsze lata w klubie nie obfitowały może w olśniewające sukcesy, ale młoda piłkarka stale podnosiła poziom swoich umiejętności i wkrótce stała się podstawową zawodniczką drużyny. Niemal od początku stałym i ulubionym miejscem Kasi na boisku stało się skrzydło. Jej atuty: szybkość, wytrzymałość, dobry wyskok i niezły drybling – sprawiają, że dla obrończyń rywalek jest prawie nieuchwytna. Dobrze wykonuje rzuty karne i w swojej drużynie jest niemal żelazną ich egzekutorką. Główne mankamenty skrzydłowej to wciąż słabsza gra w obronie, szczególnie tzw. strefie oraz zbyt duża liczba fauli. Nie wynikają one jednak z brutalnej gry, tylko ogromnej agresywności i ambicji. Nieraz w ferworze walki po prostu wszelkimi sposobami powstrzymuje przeciwniczki, ale jak sama twierdzi, pragnie poprawić ten element gry i jak najrzadziej otrzymywać od sędziego upomnienia.

Bieżący rok był bardzo udany dla sympatycznej zawodniczki. Razem z zespołem zajęła pierwsze miejsce w Pucharze Miast w Chorzowie oraz drugą lokatę w płockich igrzyskach młodzieży szkolnej. Ponadto dostała się do II Liceum Ogólnokształcącego w Nowym Sączu, do klasy o profilu ogólnym. Ma nadzieję, że następne lata będą równie pomyślne. **(ab)**

Fot. **A. Baczyński**

6

MARIA BOROWA

OGRODY

Tak ma na imię kulawa Julia. Podsuwają jej krzesło, ale dziewczyna zostaje na środku sali. Twarz Romea tężeje w napięciu.

– Chciała zdawać do szkoły teatralnej – słyszy szeptem rzuconą informację Monika. – Gada jak anioł, same zobaczycie.

– Chyba usłyszymy – wtrąca ktoś zasadniczy a niewidoczny po drugiej stronie palmy.

– Musicie tyle o tym?... Ale spójrzcie, Mate zbladł z przejęcia. To trema za nią.

– Cili... nie tak głośno. Będzie bomba, zobaczycie przeczyta własne wiersze, na...

– Nieprawda, wycofała się... No! – triumfuje szept obok.

... Boję się
cierpkich uśmiechów
przymrużeń oczu
wzruszeń ramion
Kiedy byłam dzieckiem
pisałam wiersze na strychu
żeby się nie śmieli...

Nie wiem, Nata, jak to się stało, że przestali śmiać się i krzyczeć, i zrobiło się cicho. Jak w domu, kiedy śpiewałaś swoje żołnierki, a my byliśmy szczęśliwi, choć nie wiedzieliśmy o tym. A może tylko ja nie wiedziałam. Zamyśliłam się, odeszłam w siebie, w myśli o tobie, i nie zauważyłam przemiany, jakiej uległa świetlica. Oni w świetlicy. Czym więc wytłumaczyć niedawne błazeństwa? Nie wiedziałam. Nie znałam jeszcze Piotra i nie miał mi kto powiedzieć, że jestem niesprawiedliwa i zarozumiała. Wieczna prymuska, i do tego w różowej sukience. Nie miałam takiej, ale nasz dom na ósmym piętrze był różowy, i ja w nim ta wspaniała i pełna uroku. Tak myślałam, wiesz? A naprawdę rozpaskudzona i rozwydrzona, bo wszystko mi było wolno. Mieliście niezłą zabawę co dzień, wyobrażam sobie. A może to było tylko zakłopotanie? Nic nie mów i nie próbuj mnie tłumaczyć. Nie wszystko można położyć na karb nieopierzenia. Wiem, że mnie kochasz i wydaje ci się... Też cię kocham, Nata. Nie wykrzykujemy sobie tego, prawda? Całe szczęście. Nie uważasz, że słowa mają coś w sobie ze sztuczności sceny? Ja tak często wiele spraw odbieram. Tylko nie ciebie. I Piotra, gdy był... Nie muszę cię zapewniać, że zawsze uznaję twoje racje, choć wolę ci je przyznawać inaczej niż potakując. Ale mnie jest trudniej żyć ze sobą w zgodzie niż tobie. Dlatego że jestem niecierpliwa. Z góry zaprogramowana na nie. Złoszcząca się o byle co. Nawet teraz. I nawet na ciebie. Nieprawda? Nata, moja wspaniała starsza siostro, cała rodzino bez Nich. Jesteś mądra i dzielna, ale tak dobra, że zakrawa to na szaleństwo albo – wybacz – głupotę.

Pamiętasz rozmowę z ciotką Leonią? Powiedziała ci (ja byłam w sąsiednim pokoju i myślałyście, że usnęłam po tabletce, którą mi ciotka wepchnęła w zęby, a ja zamiast połknąć, wyplułam rozmiękłą papkę w chusteczkę) – „Nata, skarbie, to nie na moje siły. Na twoje też nie. Kocham Monikę, ale nie pozwolę ci się tak poświęcać. Zamieniać mieszkanie? Rzucać studia? I tego... tak, Grzegorza? Dla siostry, która nigdy... Tu ciotka Leonia wybuchnęła płaczem. – Takie mieszkanie – kontynuowała wśród łez – czy ty nic nie rozumiesz? Dziewczyno! To nie szlachetność, to... to... tak nierozsądne, karygodne, głupota!"

Włożyłam pięść w usta, żeby nie zacząć krzyczeć, a któraś z was – powiedz, że to nie byłaś ty! – zamknęła drzwi jedne i drugie.

To nie byłaś ty, Nata.

Myślałam tak samo jak ciotka Leonia.

Nie chciałam cię wtedy ani twojej dobroci, tak mi się zdawało. I tak było chyba naprawdę. Dawałaś mi więcej, niż można było przyjąć, jak miałam żyć – próbować żyć – z podwójnym ciężarem? Przecież nigdy ci tego długu nie spłacę. Będziesz – jesteś – moim wiecznym wyrzutem sumienia. Nie z mojej winy, ale przeze mnie. Nie masz w sobie przecież nic z cierpiętnicy, żeby takie coś... Jestem duża dziewczyna, Nata, zaczęłam myśleć i nie zawsze o sobie. Obserwuję też, kogo się da... Ciebie też. Kochając nie jestem ślepa. Skaza organiczna. Ty jej nie masz, zawsze byłaś normalna, choć dobra. Dobroć nie jest cechą przydaną wszystkim, myślę, że tylko nieliczni ją posiadają. Ja na pewno nie.

Jaki był Grzegorz, Nata?

Dobroć... Infantylne, naiwne określenie, wyrwane z kontekstu mdłe jak posiłek bez soli, nie przystające do nikogo poza tobą – z kontekstem czy bez – a przede wszystkim nie do Grzegorza. Był silny, pewny siebie, bardzo zdolny i naprawdę zakochany. Byłam zła na niego za to naprawdę... nie zła, raczej zazdrosna, bo miałaś go jednego, a to było więcej niż wszyscy moi koledzy i chłopcy razem wzięci. Zresztą – równolegle z zazdrością – uważałam, że nie bardzo wiedział, jakim jest szczęściarzem, wybierając ciebie.

A ty jechałaś na wakacje. Pierwsze z nim i aż do Szczawnicy, a potem dalej pod górę, przez całe Pieniny i Gorce do Zakopanego.

„Zakopane, to właśnie ja i ty, Zakopane, trzy, może nawet cztery dni..." śpiewałam niemądrze i niezmordowanie od rana do wieczora pokpiwając z ciebie, milczącej, uśmiechniętej, szczęśliwej. Rzuciłaś malowanie, nie plątałaś nici, sizal i sznurki wepchnęłaś do szafy w kąt, gdzie umierały echa zapomnianych, zdradzonych żołnierek.

– Dwa – przerwałaś mi wreszcie. – A może tylko jeden dzień. Grzegorz chce chodzić po górach, ja też. Samo miasto nie znaczy nic. Rozumiesz, Moniko?

Rozumiałam.

Moje plany wakacyjne były mniej wspaniałe – miałam zostać z rodzicami w Warszawie i pomagać mamie w urządzaniu domu. (Nowe mieszkanie, to na ósmym piętrze, duże i wreszcie własne, dostaliśmy w lutym i wszystko stało w nim jeszcze na głowie.) Tobie zostawiłyśmy artystyczny retusz... Na sierpień zarządzono trzyosobowy wyjazd do wujostwa pod Kielce – do ciotki Leoni (przy mężu) i wuja Błażeja (dyrektora PGR-u).

– Akurat – mówiłaś. – Monika ucieknie po tygodniu.

Akurat, odpowiadałam w myśli, o krok będzie obóz z z Karoliną dobrze się gadało o wszystkim i niczym, Kacper... Nieważne. Tym bardziej teraz, choć myślałam o takie porównanie.

Cdn.

LISTY Z WOJNY

Każdy z nas zna wiele wierszy, które powstały w czasie wojennych dni. Poeci ginęli w walce, ale w pozostawianych po sobie strofach dawali świadectwo prawdzie: bohaterstwu i cierpieniu.

O tym samym mówiły wysyłane wtedy listy – te z frontu i z obozów jenieckich, z więzień i z obozów koncentracyjnych. Część z nich przybierała formę poetycką i trafiała nie tylko do najbliższych ale i na łamy konspiracyjnej prasy. Właśnie takie mniej znane poetyckie listy z wojny wybraliśmy do wspólnej lektury w tegoroczną rocznicę.

Wiersze uzupełniają rysunki Tadeusza Kubalskiego, które również powstały w czasie wojny i są dokumentem tamtych czasów.

Marian Piechal

LISTY DO SYNA O WOJNIE

Jest wojna, synku, gdy to piszę,
a wojna to krew,
to trupy owinięte w ciszę
i w potomnych śpiew.

Gromadzą się coraz surowsze
pułki grubych chmur,
pierzcha spokój jak wichru ostrzem
zdarty wody wiór.

W ognistych drzazgach dzień się budzi,
noc w odstrzałach zórz,
armaty zasypują ludzi
wybuchami burz.

Z łodyg stalowych luf wykwita
ołowiany kwiat –
ziemia cała żelazem ryta
w deseń nowych map.

Twój ojciec, synku, przeciw wojnie
w jej dzieje się wplótł.
Gdybym zginął, pamiętaj: ty po mnie
podejmij ten trud!

obóz jeniecki Altengrabow, wrzesień 1939

Leon Kruczkowski
Listy z oflagu

DO SYNA

Może w tej chwili z cienkiej, szkolnej książki
uczysz się o zaimkach –
albo rysujesz kształt kolumny jońskiej,
lub może czytasz Kiplinga?

Czyś teraz w domu – zamknięty ścian ciszą –
czy może jedziesz tramwajem?
Już duży jesteś? Jakie twoje sny są?
Nie wiem – i serce się kraje.

Wyrosłeś. Inny, niż cię oko znało,
czy pojąć cię potrafię?
Z uśmiechem smutnym i trochę nieśmiało
oglądam twe fotografie...

Światełko moje, w horyzontach skryte
przed myślą nieporadną –
w listach – w linijkach twych dziecinnych liter
próbuję cię odgadnąć.

Marzę. Za oknem wczesna noc bezgwiezdna,
cóż przyjdzie po niej?
Skrzywdzoną młodość twoją – której nie znam,
pozdrawiam uściskiem dłoni.

obóz jeniecki Woldenberg 1942

Józef Wiśniewski

ŻOŁNIERZ DO MATKI

Drzewa idą ku niebu. Jest muzyka słoty.
(Struny deszczu cieniutkie – to wiatr na nich gra...)
Na trawie, jak obłoki – rozpięte namioty.
Księżyc spływa po rzęsach. (Księżyc, może łza?)

O, jak daleko wiatrom w drodze do Ojczyzny
i jak daleko Twoim, moja mamo, snom.
Smutek jest zawsze szary, zmierzch od smutków żyzny.
(Tamto wzgórze jak z Polski, tylko że za mgłą...)

Myślę, że jeśli wrócę, opowiem Ci mamo
o Szkocji i o morzu ogromnym jak śpiew.
Dowiesz się, że tęsknota wszędzie taka sama,
że wszędzie jednakowo kipi młody gniew.

Poznałem różne nieba, różne widnokręgi,
otwieram świat na roścież i idę ku krwi,
ja – żołnierz wierny głosom najtrwalszej przysięgi.
W sercu mi Polska żyje, w oczach żyjesz Ty...

Mamo – drzewa ku niebu idą. Deszcz rzęsisty
spadł – krople błyszczą – to różaniec nasz.
Odczytuję przed nocą Twoje stare listy.
(Może wiatr szkocki płacze, a może Ty łkasz?...)

Londyn, tygodnik „Jestem Polakiem" sierpień 1940

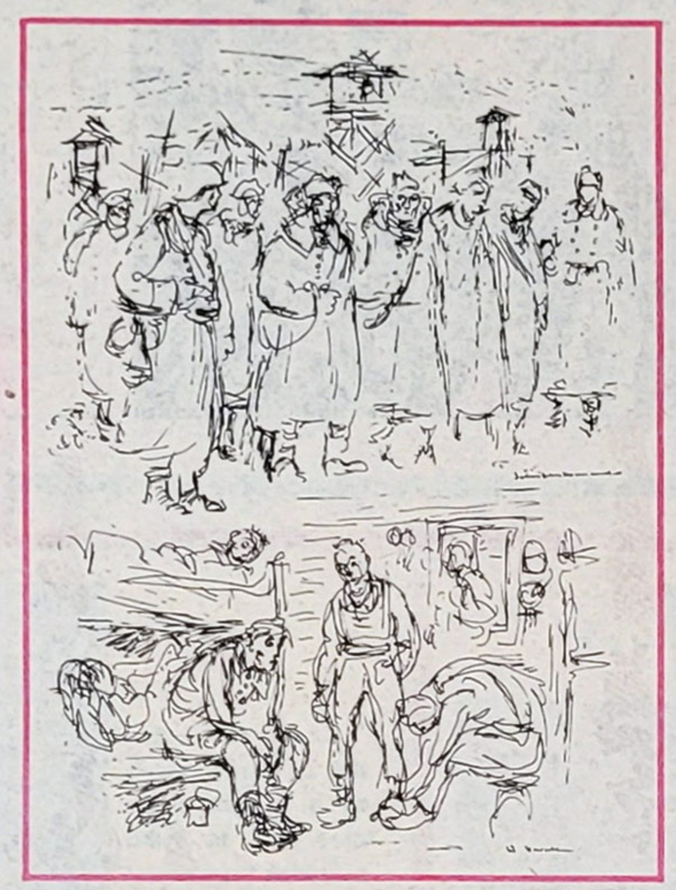

Tadeusz Borowski

DO TOWARZYSZA WIĘŹNIA

Gdy stąd na wolność, towarzyszu,
odejdziesz jak na stały ląd,
to prosto do mej matki idź
i mojej matce powiedz tak:

„Syn jest w więzieniu, w wielkiej celi,
dzień tam jest długi, noc bez snu,
w oknie są kraty, kawał nieba
i dach czerwony z naprzeciwka.

Syn był poetą, kochał książki,
dziewczynę miał i pisał wiersze,
i takim życiem żył, jak gdyby
na ziemię wrócił złoty wiek.

Lecz wiek jest wiekiem szczęku żelaz.
Syn oczy zimne ma i twarde
i czeka nocy, żeby zasnąć,
i śniąc swe życie przypominać".

I jeszcze mojej matce powiedz,
że gdy odejdę niepowrotnie,
niechaj nade mną pewną ręką
postawi napowietrzny krzyż.

Bo ponad szczęk żołdackich kroków,
ponad bitewny zgiełk, nad śmierć
człowieczą – trwalszy jest w powietrzu
krzyż ręką matki nakreślony.

Pawiak, 1943

Grzegorz Timofiejew

DO SYNKA LIST Z OBOZU

Jeślibym mógł do ciebie pisać,
piękno i czar biorąc za style
może bym kreślił mgłą na ciszach
i zamiast kropek kładł motyle.

Może bym prawdy zaoszczędził,
obyś przed czasem się nie wzdrygnął,
że płosząc bajki i gawędy
dzieciństwo truję ci maligną.

Jeślibym mógł do ciebie pisać...
Lecz dłoń z obozu wyciągnięta
na elektrycznych drutach zwisa
i groźnie woła w świat: pamiętaj!

Tę dłoń w konwulsji oszalałej
na stosie trupów i dnie nocy
spostrzegłem i zapamiętałem
jak sztandar śmierci... Jeszcze oczy,

które już gasły, a widziały
daleko – pełne takiej siły,
że rwały w proch kamienne skały
i szły do kraju, i budziły.

Gdy ludzie trwożnie śpią w ojczyźnie,
nurzając włosy w dymie sennym,
krwawym księżycem stanie w izbie
otwartych oczu blask śmiertelny.

Podejdzie blisko tak do łoża,
że dziecko zacznie płakać we śnie,
a kiedy przestrach, będzie gorzał –
krzyknie sieroco i boleśnie.

Tak samo syn mój niespokojnie
pod księżycowym rosnąc sierpem,
przedwcześnie ciemną grozę pojmie
i skąd ja siwe włosy czerpię.

obóz śmierci Gusen 1943

Janina Heszeles

BEŁŻEC

Jaki okropny to obraz:
pełen ludzi wagon,
w kącie kilka trupów,
wszyscy stoją nago.
Jęk zagłusza kół turkot,
skazaniec tylko rozumie,
co koło do niego mówi:
Na Bełżec! na Bełżec! na Bełżec!
Na śmierć! na śmierć! na śmierć!
Do Bełżca, do Bełżca, do Bełżca
po śmierć, po śmierć, po śmierć.
Jeśli chcesz żyć,
to skacz! to leć! to pędź!
Lecz zważ,
bo banszuc czyha na cię też.

Drugiemu skazańcowi szepce,
nie ujrzysz już matki swej więcej,
próżno płaczesz, próżno łkasz,
ojca nie zobaczysz,
bo koło na Bełżec cię gna –
na Bełżec, na Bełżec, na Bełżec!
Po śmierć, po śmierć, po śmierć!
Do Bełżca, do Bełżca, do Bełżca
na śmierć, na śmierć, na śmierć.
Pociąg zwalnia, przestaje tak biec,
z tysiąca piersi jęk się wyrywa,
pociąg do celu dobija,
świszczy lokomotywa:
Już Bełżec! już Bełżec! już Bełżec!

tzw. janowski obóz śmierci Lwów

Józef Szczepański

DZIŚ IDĘ WALCZYĆ - MAMO...

Dziś idę walczyć – Mamo,
Może nie wrócę więcej,
Może mi przyjdzie polec tak samo
Jak tyle, tyle tysięcy

Poległo polskich żołnierzy
Za wolność naszą i sprawę.
Ja w Polskę, Mamo, tak strasznie wierzę
I w świętość naszej sprawy.

Dziś idę walczyć – Mamo kochana,
Nie płacz, nie trzeba, ciesz się jak ja,
Serce mam w piersi rozkołatane,
Serce mi dziś tak cudnie gra.

To jest tak strasznie dobrze mieć stena
w ręku
I śmiać się śmierci prosto w twarz,
A potem zmierzyć – i prać – bez lęku
Za kraj! Za honor nasz!
Dziś idę walczyć – Mamo...

„Głos Starego Miasta" Warszawa, sierpień 1944

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowtska 24, 00-561 Warszawa, telex 81-36-58. ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42. **Sekretarz redakcji** Michał Malicki, z-cy sekr. red. Małgorzata Szczepańska i Grzegorz Burakiewicz tel. 28-25-48. **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 21-98-28), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Wojciech Wróblewski (dz. fotoreportażu, tel. 21-98-28). **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Danuta Drygalska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń 1000 zł za 1 cm². Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: Państwowy Bank Kredytowy III OM Warszawa, nr 370015-5757-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
SKŁAD: Zakład Poligraficzny Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w Warszawie.
Zam. A-390/89. A-42.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi Zam. 2815/89

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 116 (4656)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

NIKIFOR PO LATACH...

NOWY SĄCZ (PAP). Zbigniew Wolanin – autor noty o Nikiforze, przygotowanej na wernisaż zakopiańskiej wystawy ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu – napisał m.in.: „Nikifor, ok. 1895–1968, Łemko, światowej sławy malarz naiwny, samouk. Całe życie związany blisko z Krynicą i Łemkowszczyzną. Malarstwem, które było jedyną ważną dla niego rzeczą, zajmował się od wczesnej młodości. Analfabeta i żebrak o ograniczonej możliwości komunikowania się z ludźmi, często przez nich wyśmiewany i pogardzany, zepchnięty na margines życia, w malarstwie rekompensował sobie doznane krzywdy..."

Kiedyś od tego wyśmiewanego żebraka można było za parę groszy dostać rysunek, wykonany np. na pudełku po papierosach lub akwarelę namalowaną na byle kawałku tektury... Nikifor – przypomina Zbigniew Wolanin – „namalował kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt tysięcy obrazów. Wiele z nich przepadło. Prace, które są dziś ozdobami ekspozycji muzealnych, galerii i salonów Desy, jeszcze niedawno traktowane były przez wielu ludzi jako zwykłe śmiecie i tak się z nimi obchodzono".

„Co znaczy imię Nikifor?" – to tytuł ostatniego rozdziału wydanego przed kilku laty przez „Arkady" albumu Andrzeja Banacha. Banach pisał: „są ludzie, którzy mają prawo powiedzieć, że razem z nimi umrze cząstka świata. Taki był Nikifor. Z jego śmiercią odszedł w przeszłość fragment światowego malarstwa naiwnego, na oczach naszych umarł ostatni polski malarz ludowy. Niechże ta ziemia będzie mu lekka, niewiele zaważył na niej. Ale jego dzieło jest ciężkie: obrazy Nikifora będą świecić w muzeach jak drogie kamienie. Jego obrazy będą go strzec tak długo, jak długo istnieć będzie na ziemi zdolny do wzruszenia człowiek... Tak żegnałem Nikifora na pogrzebie, gdy byłem przy nim po raz ostatni, 10 października roku 1968.

„W Krakowie przy stole" – przyjęcie w domu Elżbiety i Andrzeja Banachów

Nikifor wyrażał swoje uczucia w sposób prosty i czysty – nie było wielkiej różnicy między jego smutkiem czy strachem i ciemnością kolorów akwareli. Był surowy wobec siebie. Nie ustępował pokusie piękności, nie malował akwarel w tej intencji, żeby nam się podobały. Jego styl był wynikiem, nie założeniem."

Andrzej Banach kończy swoją opowieść o Nikiforze zdaniem: „matka Nikifora miała rację, wybierając mu imię – Nikifor znaczy: „niosący zwycięstwo".

Zakopiańska wystawa rzeczywiście oznacza zwycięstwo tego artysty-prymitywisty. Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu zostało po śmierci Nikifora spadkobiercą jego schedy artystycznej i osobistej. Artystyczny spadek po Nikiforze – to ponad tysiąc prac, największa polska kolekcja. Osobisty majątek Nikifora był skromny jak on sam, ot, jedna drewniana skrzynia, która zresztą służyła Nikiforowi... za łóżko.

Nikiforowe dworce i kolejowe stacyjki, cerkiewki w górskim pejzażu, gmachy urzędów, piękne wille i pensjonaty, portrety świętych i chorągwie z wizerunkami błogosławionych, także on sam: Nikifor-urzędnik, Nikifor-Matejko, Nikifor-biskup...

Zakopiańska wystawa w galerii Biura Wystaw Artystycznych po 21 latach od śmierci, pięknie przypomina legendę polskiej sztuki – Nikifora Krynickiego.

Fot. **J. Dąbrowski**

Czy to nowy model okularów modnych w tym sezonie? Nie, to tylko człowiek pogrążony we śnie w okularach wyposażonych w sensory śledzące ruchy gałki ocznej. Badania nad snem prowadzą uczeni z Uniwersytetu Stanfort w USA, a widoczny na zdjęciu mężczyzna dobrowolnie uczestniczy w eksperymencie.

Fot. *National Geographic*

UŚMIECH NUMERU

DO STAREGO, solidnego hotelu przyszedł kot, by wynająć pokój. Recepcjonista pyta go uprzejmie:

– Szanowny pan życzy sobie pokój z myszami czy bez..?

★

LEKARZ tłumaczy panu Iksińskiemu:

– Jeśli panu nie będzie przechodził kaszel, proszę zażywać te krople trzy razy dziennie. Proszę pamiętać: trzy razy dziennie. I unikać picia zimnych napojów...

– A ile razy dziennie mam unikać tych zimnych napojów?